

# WSTĘPNIAK

Najważniejsze pytanie logistyczne wyjazdu do Ziemi Świętej to: jak wrócić z Izraela nie przekraczając granic państw jemu wrogich, takich jak Syria czy Libia ?

Wodzenie brudnym paluchem po mapie wykaże także, że niemożliwy jest powrót przez Irak albowiem wojska polskie zamiast go podbić i złupić oraz szybami naftowymi zawładnąć, zaczynają się chyłkiem z niego wycofywać.

Odpowiedź nasuwa się przeto jedna – mozem to uczynić jedynie morzem.

I w tym miejscu uznanie wyrażam Piotrowi, któren z podziwu godnym uporem, kontakt nawiązał z firmą Rosenfeld Shipping Company, a ona to podjęła się transport naszych ciał i motocykli z Hajfy do Pireusu zrealizować, zapewniając też luksusowe kabiny oraz jadło w ilości niezbędnej do przetrwania smoka ( czyt. Lewara ).

O tym, że kontakt ten nadszarpnął nieco nasze zdrowie psychiczne będzie później.

## EUROPA, EUROPA...

Natenczas dnia owego 29 sierpnia Roku Pańskiego 2008 rumaki nasze oktanami napoiwszy na spotkanie hord niewiernych ruszamy, trwogi w sercach nie mając, a jedynie z nadzieją aby chwały wiecznej zaznać i duszyczki zbłąkane choćby i żelazem rozpalonem na właściwą drogę nawrócić.



Niestety w drodze przez Europę jeden z rycerzy – znamienity Marcin z Grodu Smoka zamiast na jeździe i czynach chwalebnych się skupić i duszyczki nawracać, dupeczkom a zwłaszcza bułgareczkom, kelnereczkom propozycje nieprzystojne jął czynić a rozkochawszy je w sobie, rankiem chyłkiem w drogę się wymykał zostawiając je w żalu nieutulonym i w złości bezsilnej, że oto kochanek gorący uciekł był, od obowiązków się odżegnując, ślad swój potomstwem rudawem na wieki znacząc a sromoty niewiastom zacnym przysparzając.



Ale po kolei.

Pierwszy nocleg wypadł nam nie wiedzieć czemu w okolicach Szegedu na kempingu dla naturystów. Największą atrakcją owego kempingu były koedukacyjne natryski o czym lojalnie uprzedziła nas pani w budce – recepcji i zapytała czy nam to nie przeszkadza.

„Nieeee, nieee !!!” odparliśmy zgodnie.

Pewnie ze 40 minut spędziłem pod prysznicem aż mi się mydło skończyło i pasta do zębów a ciało moje piękne, czyste było i pachnące i .....nic. Żadnej wyzwolonej adeptki naturyzmu ewentualnie chcącej wyszorować moje muskularne bary.

Za to z uporem godnym lepszej sprawy ( był już chłodny wieczór ) po kempingu włączyło się dwóch smętnych panów w strojach organizacyjnych ale to akurat nie wywoływało w nas pozytywnych wibracji. Czyli smutna flacha i spać.

I tu muszę zaznaczyć, że Piotr alkoholu nie pił bo go żona prosiła i lekarz zabronił kategorycznie.

I on nie pił.

Wcale.

Przez Serbię przelatujemy bez sensacji i wjeżdżamy do Bułgarii.

Następny nocleg wypadł nam w hoteliku niedaleko Sofii.... i tu nieszczęście. Spławik znowu się troszeczkę zakochał. Obiekt uczuć miał wprawdzie aparycję i figurę kubańskiej kulomiotki wagi lekkośredniej ale cechy te niestety zanikały w oczach amanta, wraz ze spożyciem przez wspomnianego Spławika 70% alkoholu, mojej zresztą produkcji. Afrodyzjak jakiś uczyniłem, czy co ?!

A Spławik pił był niemało.

Na szczęście kiedy udało mi się odciąć wspomnianego absztyfikanta od źródelka, czar prysł i rano mogliśmy ruszyć w dalszą drogę.

Podczas rannego pakowania z przerażeniem odnotowałem, że zapasy alkoholu zgromadzonego we wszystkich możliwych pojemnikach stopniały okrutnie i nie starczą nawet do Aleppo.

Całe szczęście, że pił tylko Marcin, no i... ja mu trochę pomagałem.

Bo Piotr nie pił.

Wcale.

Nic a nic.

Bo żona go prosiła a lekarz zabronił. Kategorycznie.

O tym, że motocykle nocowały bezpiecznie w drink barze to chyba nie ma co wspominać, bo to już codzienność motocyklowych wypraw.

# TURECKI KEBAB

Granicę turecko-bułgarską przekraczamy w Edirne bez większych problemów i kierujemy się do przeprawy promowej w Gelibolu.



Jadę przez Turcję trzeci raz w ciągu trzech lat i mam już serdecznie dość autostrady Edirne – Sztambuł tym bardziej, że dwa lata wcześniej uwięziła mnie na niej awaria akumulatora. Jak się później dowiedzieliśmy, podobne kłopoty spotkały na niej Kiuba z Gawronem w tym roku.

Zawsze kiedy jadę przez Turcję a robiłem to za każdym razem inną drogą, fascynuje mnie tempo i rozmach z jakim Turcy budują sieć drogową w swoim kraju. Tu, o budowaniu się nie gada, tu po prostu się to robi. Na całej trasie przejazdu zgromadzona jest niewiarygodna ilość sprzętu i ludzi potrzebnych do realizacji sieci dróg. A budują z rozmachem. Nawet jeśli jezdnia jest na razie dwupasmowa to nasyp jest dużo szerszy, tak aby w przyszłości można było ją poszerzyć.

Tak więc pędzimy po pięknych tureckich drogach a wiatr rozpędzony na bezkresnych płaskowyżach wręcz usiłuje zepchnąć nas na pobocze.

Wieczorem docieramy do Gelibolu i robimy przegląd hotelików. Wybieramy jeden z nich o korzystnym współczynniku jakości do ceny, którego właściciel zapewnia nas, że on nigdy nie śpi i motocykle parkujące na ulicy będą bezpieczne. I rzeczywiście noc maszyny

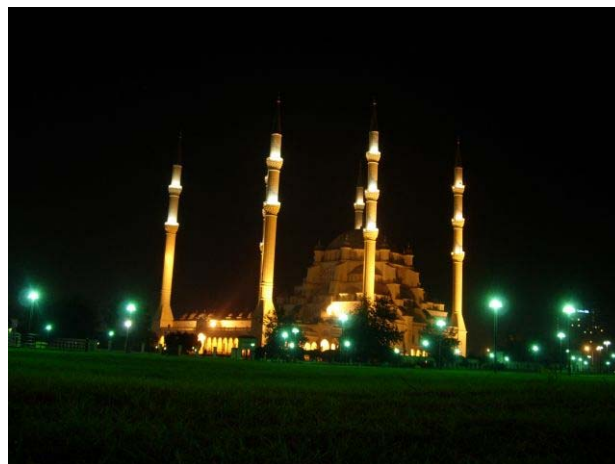
przetrwały bezpiecznie i tylko miejscowe koty z upodobaniem wylegiwały się na siedzeniach wymoszczonych egzotycznymi baraniami skórami z Podhala.

Pożeramy jakieś kebaby w obskurnej portowej knajpie a rano przeprowadzamy się do Azji. Jechać, jechać, jechać !!! Takie hasło towarzyszy nam przez całą drogę przez tę straszliwie długą Turcję.

A więc jedziemy, tankujemy, jemy, przysypiamy na prostych odcinkach dróg, śpimy i znowu jedziemy. Afryczki się nie psują – nuuuda.



Nocujemy w Afion. Jedziemy, nocujemy w Adanie z pięknym widokiem na imponujący nowy i olbrzymi meczet.



Rankiem wstajemy i znowu jedziemy. I tak do wyrzygania.

Przed wjazdem do Syrii postanawiamy odpocząć w małym miasteczku Arsus nad Morzem Śródziemnym. Kapiemy się, pifkujemy, jemy rybki i bratamy się z miejscowymi Easy Riderami.



Spędzamy tam dwie noce ale w końcu trzeba jechać, jechać, jechać. Między Arsuz a Samandag jest wymarzony szuterok dla Afryczek. Po lewej stronie góry, po prawej w dole szmaragdowe morze. Gęby nam się śmieją jak na reklamie budyniu.



# WELCOME TO SYRIA

Granica turecko – syryjska to temat na bardzo długie opowiadanie ale ponieważ 7greg już o tym pisał, więc ograniczę się do suchych faktów.

Olewamy pierwszy punkt kontroli gdzie mili pogranicznicy podstępnie częstują nas chłodną wodą. Nie zwiodą nas. Dobrze wiemy co nas czeka.

Olewamy także ruską mafię, która za jedyne 150\$ chce załatwić za nas formalności. Wchodzimy do chłodnej hali gdzie królują wielkie portrety jedyne słusznego i ukochanego władcy i z determinacją oddajemy się wypełnianiu niezliczonych kwestionariuszy, odpowiadaniu na pytania: a skąd, a dokąd, a po co ? Biegamy od okienka do okienka, szukamy banku, wymieniamy pieniądze, załatwiamy osławiony Triptik i znowu wypełniamy jakieś papiery.

Dobija nas dopiero jeden kwestionariusz po arabsku, który musimy TEŻ WYPEŁNIĆ PO ARABSKU !!! Ponieważ przekracza to nasze zdolności lingwistyczne więc dogadujemy się z jakimś miłym oficerem w sprawie niewielkiej łapówki, która byłaby przyjemnym uzupełnieniem jego zapewne mizernego uposażenia.

Niestety miły oficer ma w tym dniu pecha, bo nagle i nie wiadomo skąd pojawia się przedstawiciel Syryjskiego Ministerstwa Turystyki w dodatku władający angielskim i francuskim i bez żadnych dodatkowych opłat pomaga nam przebrnąć przez ten cały biurokratyczny – komunistyczny kołowrót.

Jesteśmy w Syrii !!!

Upewniają nas w tym boleśnie pierwsi „ śpiący policjanci „ czyli garby, pojawiające się na drodze bez żadnego ostrzeżenia w każdej wiosce lub miasteczku.

Docieramy do Aleppo i...ja osobiście mam ochotę natychmiast z niego uciekać. Asfalt jest śliski jak brzuch foki. Ścisk, tumult i hałas jest niewiarygodny. Natężenie ruchu i rozgardiasz na jezdni nie do opisanie. Żar się leje z nieba. Nikt nie przestrzega cywilizowanych reguł ruchu.



Jeśli masz przed sobą 20cm wolnej przestrzeni to w nią wjeżdżasz i nie ma znaczenia fakt, że nie miałeś pierwszeństwa. Po prostu trąbisz i może cię wpuszczą, a może nie...  
Po ulicach porusza się wszystko co może się poruszać bez względu na to czy ma koła, nogi, czy też kopyta.



Pieszcy nie ma żadnych, ale to żadnych praw. Ma za to jeden obowiązek – nie dać się zabić.

Kierowcy taksówek ale także innych pojazdów zatrzymują się kiedy chcą i gdzie chcą. Na krótko i na długo. Aby zabrać pasażera i go wysadzić. Aby pogadać ze znajomym o kroju galabiji kupionej na suku a może o panience bzykniętej w ruskim nocnym klubie. I nie ma



znaczenia, że kierowcy za nim, w ogromnym korku - trąbią. Mają sprawne klaksony – to trąbią. Pojadą jak pogada. Inscha Allah. Jeśli Bóg pozwoli.

Wedle syryjskiego prawa drogowego ( chłe, chłe chłe ) teoretycznie wjeżdżający na rondo ma pierwszeństwo ale ponieważ nigdzie nie ma namalowanych pasów ruchu, więc spotykają się gdzieś na jego środku i wystawiając rękę przez okno pokazują sobie, który ma jechać a który niech lepiej poczeka, a jeśli nie dochodzą do porozumienia to wysiadają z pojazdów i skaczą sobie do gardła.

Policjanci snują się gdzieś z boku i nawet nie udają, że byliby w stanie zapanować nad tą stacją Augiasza.

I oto w tych pięknych okolicznościach wielkowiejskiej dżungli jak zwykle moja złośliwa suka Afryka odmawia współpracy i dusi się kiedy chcę odjechać ze skrzyżowania na zielonym świetle. Niemiłosiernie otrąbiony przez pozostałych uczestników tego bałaganu jakoś zjeżdżam na bok – na szczęście w cień.

Ponieważ przez ostatnie 40 minut w korku wentylator mi się nie wyłączał, więc przez głowę przelatuje mi myśl, że zatarłem krowę. Ale to przecież niemożliwe. Afryk się nie zaciera.

Chłopaki pojechali dalej, poniesieni rzeką pędzących pojazdów.

Sięgam po bidon i pociągam potężny łyk wody. Wody ?!!!

Nie !!! To była 80% gorzała własnego wyrobu zabrana w celach towarzyskich, obrzydliwie ciepła, właściwie gorąca ale spełniająca zadanie dla którego została zabrana. Uspokajam się i wydaje mi się, że widzę Splawika, omdlewającego od upału, dygającego na piechotę ratować kolegę.

Odpalamy Afrykę, która w międzyczasie nieco ostygła i uległa samonaprawie. Odpoczywamy nieco na najbliższym rondzie i udajemy się na poszukiwanie hotelu.

Ponieważ robienie tego na motocyklu jest zadaniem bardzo trudnym a wręcz niebezpiecznym więc postanawiamy zaparkować pojazdy na jedynym wolnym miejscu, które widzimy przy Sheratonie. Trudność polega na tym, że aby tam zaparkować trzeba przeciąć w poprzek jednokierunkową jezdnię mieszczącą na oko około sześć rzędów pędzących wariacko samochodów. Oczywiście w Syrii na sześciorzędowej jezdni mieści się osiem rzędów.

Ponieważ WYDAWAŁO MI SIĘ że Syryjczycy są bardzo mili dla kierowców z Europy i im ustępują, to nieco jak się potem okazało, pochopnie, rzucam hasło – WYMUSZAMY !!!

Splawik wymuszał pierwszy.

Siedem rządów pędzących wariacko pojazdów z piskiem opon zahamowało przed głupkami z Europy pragnącymi zaparkować przy Sheratonie, niestety taksówkarz z ósmego nie zauważył co się dzieje i zahamował nieco za późno.

W myślach pożegnałem kolegę Marcina...

Żył krótko ale wpaśnie...

Na szczęście ( niestety ) – <niepotrzebne skreślić>, taksówkarz zatrzymał się 1,7 cm od Splawikowego kolana a Marcin aby godnie przyjąć uderzenie, z tymi wszystkimi kuframi, tankbagami, materacami, śpiworem, namiotem i h...wie czym jeszcze położył mu się na masce i NA BOGA wydawało mi się, że uśmiechnął się do taksówkarza wybaczącym, ostatnim uśmiechem.

Zarówno pojazdom, jak i osobom fizycznym NIC SIĘ NIE STAŁO.

Policjant na motocyklu, jak to bywa w totalitarnym państwie pojawił się nie wiadomo skąd ale całym jego zmartwieniem było, czy Marcinowi nic nie jest. Po trzykrotnym zapewnieniu że nic, przyniósł mu wody, pogłaskał go po głowie i ojcowskim tonem powiedział, żebyśmy nigdy, przenigdy nie odwalali takich cyrków na syryjskich ulicach albowiem Allah zużył już cały zapas szczęścia jaki przeznaczył na naszą wycieczkę.

I tu oto przed Sheratonem, nieco ochłonawszy po powyższym incydencie, poznajemy innego taksówkarza, który miał zostać naszym przewodnikiem po Aleppo. Gość mówi nieźle po rosyjsku, czym wzbudza nasze podejrzenia, że pewnikiem był szkolony w Moskwie. Na wszelki wypadek absolutnie nie wyjawiamy naszych planów wjazdu do Izraela. W sumie to do końca nie wiedzieliśmy czy ów był na usługach wywiadu, czy nie.

Radwan, bo tak miał na imię, oferuje nam bezpieczny parking dla motocykli w swoim domu i pomoc w znalezieniu hotelu.

Przez dwa dni jakie spędzamy w Aleppo wozi nas za śmieszne pieniądze po mieście pokazując rzeczy jakich nigdy nie zobaczylibyśmy zwiedzając go sami.

Dwa razy zaliczamy jeden z największych i najbardziej autentycznych suków na Bliskim Wschodzie. Labirynt handlowych uliczek rozciąga się na przestrzeni kilku hektarów.

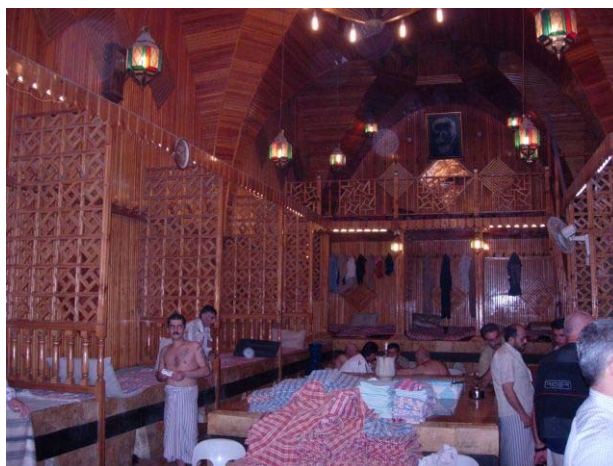
Szczególnie wycieczka nocą po opustoszałych olbrzymich bazarach sprawiała niesamowite wrażenie.



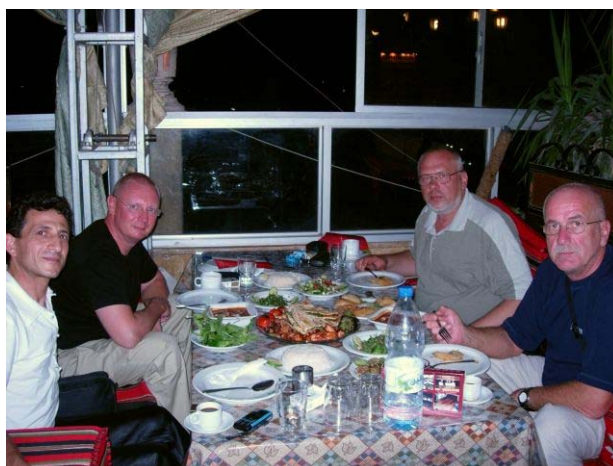
W czasie odwiedzin za dnia, kupiliśmy tam twarzowe galabije i arabskie nakrycia głowy dla siebie oraz kaszmirowe chusty dla naszych pań.



W tymże suku korzystamy z bardzo starego hammamu – czyli arabskiej łaźni, z masażami i obowiązkową kąpielą w małym basenie.



Wieczorem odwiedzamy dość wytworną arabską restaurację, w której Radwan zamawia dla nas olbrzymią ilość wyszukanych specjałów.



Pod koniec uczyt dosiada się znajomy Radwana, który według jego słów jest miejscowym producentem spodni dżinsowych. Tenże biznesmen w trakcie naszego posiłku wypija szklaneczkę soku po czym dyskretnie znika. Kiedy chcemy zapłacić za kolację, okazuje się, że rachunek został już zapłacony przez owego tajemniczego osobnika. Nigdy go potem już nie spotkaliśmy.

Na ulicy gdzie mieścił się nasz hotel, wieczorami odbywał się dziwny spektakl. Do pewnych drzwi po których z trudem można było się domyślić, że należą także do hotelu, podjeżdżała wysłużona limuzyna i zabierała, ile się zmieściło, nieco frywolnie ubranych i umalowanych panienek, po czym w następnej przecznicy panienki wysiadały a limuzyna tyłem wracała pod drzwi owe i sytuacja się powtarzała.

Takiej okazji nie mogliśmy przepuścić – odwiedzamy arabski burdel, który tutaj jak i pewnie na całym świecie nazywany jest nocnym klubem.

Zachodzimy tam z Radwanem a obsługa ochoczo rozściela biały obrus na którym lądują jakieś orzeszki, owoce i najbardziej ohydne piwo jakie piłem w życiu – czyli syryjskie ( nazwy nie pamiętam bo i po co ).

Oho...Pewnie nas tu nieźle skasują, myślę sobie, ale nic to, panienki wyglądają całkiem, całkiem, więc chociaż napasę swoje stare oczy ( wersja dla żony ).

Panienki miały jednak pewną wadę i można zaryzykować tutaj słowo – ukrytą. Otóż za nic nie chciały się rozbierać.

Zniecierpliwieni, czy to głosem, czy to oklaskami jęliśmy nawoływać je do bardziej ochoczego wywiązywania się z obowiązków pracowniczych, więc dwie z nich aczkolwiek bardzo niechętnie zaczęły się wić w parkosyzmach przy rurze, nie zdejmując z siebie jednakowoż nawet biżuterii !!!.

Po północy, zniesmaczeni opuszczamy lokal regulując rachunek, który opiewał na 200 Funtów Syryjskich za jedzenie i 800 za CZĘŚĆ ARTYSTYCZNĄ !!! Razem 1000. Wielkość sumy brzmi może przerażająco ale to raptem ok. 80 PLN.

Przy wyjściu zamieniam jeszcze kilka słów z skądinąd niebrzydkimi i jak się okazało sympatycznymi Ukrainkami, pytając o co chodzi z tym show. One na to, że nie popisów

artystycznych się tu od nich oczekuje a poza tym nie mogą obrażać wyuzdanym tańcem uczuć religijnych potencjalnych klientów BO JEST PRZECIEŻ RAMADAN !!!

O, tempora !!! O, mores !!!

Z tym ramadanem to w ogóle ciekawa sprawa albowiem w dniach owych, pobożni muzułmanie, od świtu do zachodu słońca ( dokładny moment jest ogłaszany przez immama w TV ) mają nakaz powstrzymania się od jedzenia, picia, palenia i w ogóle używek oraz seksu.

W praktyce różnie to bywa ale jedna rzecz, którą zaobserwowaliśmy właśnie w Aleppo była fascynująca. Otóż krótko przed ogłoszeniem momentu zakończenia ramadanu, dwumilionowe, tętniące życiem, zatłoczone miasto nagle pustoszeje. Znikają ludzie, nie ma samochodów, ucicha wycie klaksonów. Zupełna pustka i cisza. Wszyscy usiedli do kolacji.

Po ok. dwóch godzinach wszystko wraca do normy i miasto wypełnia się tłumem a zgiełk narasta i trwa, aż do późnych godzin nocnych.

8 września po dwóch dniach intensywnego zwiedzania opuszczamy Aleppo i udajemy się do nieodległej Świątyni Szymona Słupnika . Tu zegnamy się z Marcinem, który niestety musi wracać do domu.

Bazylika w miejscowości Kala'at Sem'an została wybudowana na wzgórzu, w miejscu, gdzie słynny asceta chrześcijański Szymon Słupnik przesiedział na kolumnie ostatnie 44 lata swojego życia. Obecnie w miejscu tej kolumny, pociętej na kawałki i zabranej na pamiątki przez wiernych, leży tylko wielki wapienny głaz.



Następnie trochę blakając się po źle oznakowanych drogach zaliczamy fascynującą Cytadelę Saladyna .

Saladyn to urodzony w 1138 wódz i polityk pochodzenia kurdyjskiego, władca imperium obejmującego dzisiejsze tereny Sudanu, Egiptu, Jemen, Półwysep Arabski, Irak i część Turcji, uważany przez wyznawców Allacha za największego i wielce szlachetnego przywódcę świata muzułmańskiego.

Zamek jest pięknie położony wśród zieleni na trudnym do zdobycia wzgórzu a dotrzeć do niego można po wąskiej, wijącej się serpentynami drodze.



Po południu docieramy do Latakii i śpimy w dość obskurnym ale niedrogim ( 900 SYP za pokój ) hoteliku nieopodal portu.

Latakia to największe portowe miasto Syrii, bardzo nowoczesne i bardzo odmienne od tradycyjnego, zachowującego stare muzułmańskie zwyczaje Aleppo.

Kobiety rzadko zakrywają swoje twarze a kierowcy jeżdżą w bardziej cywilizowany sposób i czasami używają nawet migaczy.

Rano opuszczamy Lataknię i kierujemy się na Krak de Chevalier.

Nie wiem ki diabeł podkusił mnie aby zamiast jechać główną drogą na Homs, skrócić w boczną drogę i jechać na skrót przez Safitę. W efekcie błąkami się po nie oznakowanych górskich drózkach rozdających się a czasem roztrajających. Zdarza się, że nie ma nawet kogo zapytać o kierunek a często indagowany nie zna żadnego ludzkiego języka i bywa, że stukając się w prawą rękę mówi, że trzeba skrócić w „left „ I bądź tu człowieku mądry.

To właśnie na tej drodze obiecuję Piotrowi, że jeśli jeszcze raz podjedzie do jakiegoś bezzębnego, starego poganiacza mułów i zapyta go –„ parle wu franse „ to zaduszę go

własnymi tłustymi łapskami bo jak dotąd to każdy atakowany takim pytaniem wybałuszał na nas ze zdziwieniem swoje bezrozumne ślepie.

I kiedy przy następnym pytaniem przez Piotra o znajomość francuskiego osobniku, mam zamiar swoją groźbę zrealizować, to nagle okazuje się, że gość mieszkający na tym syryjskim pustkowiu zna świetnie francuski, angielski i cholera wie jaki jeszcze język. Jest emerytowanym inżynierem projektującym niegdyś turbiny dla elektrowni i zaprasza nas na kawę oraz tłumaczy dość jasno jak dojechać do Kraka.



Krak de Chevalier – budowana przez krzyżowców przez 100 lat twierdza nie do zdobycia, nie tak wielka jak nasz Malbork ale posadowiona na szczycie wielkiego wzgórza i majestatycznie panująca nad okolicznymi dolinami wywiera na nas olbrzymie wrażenie. Wynajmujemy pokój w leżącym nieopodal hoteliku z oknami wychodzącymi na wzgórze i zamek.



Poznajemy sympatycznego Koreańczyka, który na swojej jednocylindrowej Suzuki DR 600 pokonuje trasę z Korei ( tej bogatszej oczywiście ) do Cape Town. Jest weterynarzem z



Seulu ale ponieważ ta profesja nieco go znużyła to sprzedał swoją klinikę i wyruszył w świat..

Jest prawdziwym twardzielem ale nie ma jeszcze kobitki i pyta nas czy w Polsce są ładne dziewczyny. Zapewniamy go, że najładniejsze na świecie i gościu zapala się do podróży do naszego jakże egzotycznego kraju. Na zachętę dajemy mu polską naklejkę na kufer i nasze namiary. Spotkamy go jeszcze później w Palmirze bo przecież ten nasz świat jest bardzo mały.



Przy zawodzeniu muezinów rozlewającym się z kilku meczetów usytuowanych w dolinie i radosnym porykiwaniu osiołków, których tutaj jest bez liku, zasypiamy, nie posiłkując się ich liczeniem – osiołków ani muezinów oczywiście.

Kraka zwiedzamy z przemiłym przewodnikiem, który za wynagrodzenie – co łaska, barwnie i z humorem opowiada o dziejach zamku. W jednej z kaplic daje pokaz swoich operowych, wokalnych możliwości a nawet demonstruje jak średniowieczni rycerze załatwiali swoje naturalne potrzeby.

Po południu udajemy się do Hamy aby obejrzeć Nurie, czyli olbrzymie, drewniane koła wodne, które niegdyś przenosiły wodę z rzeki do położonych wyżej akweduktów.



Niestety poziom rzeki jest o tej porze roku na tyle niski, że koła nie mogły się obracać. Następnie drogą, na której przez 120 km przez pustynię prawie nie było zakrętów osiągamy Palmyrę.



Bierzemy dwupokojowy olbrzymi apartament ze śniadaniem i miłą rodzinną atmosferą w cenie w pierwszym hoteliku przy wjeździe do miasta.

Palmyra to sztandarowy zabytek w Syrii i niestety nieco komercyjny ale na pewno wart zobaczenia. Po krótkiej chwili wahania, zwiedzamy go motocyklami ośmieleni widokiem tubylców przemykających pośród antycznych kolumn swoimi pierdzipędami.

Palmyra, początkowo niewielka oaza, w 3 wieku n.e. pod rządami Królowej Zenobii, wykorzystując słabość Rzymu, stała się wielką potęgą i opanowała cały Bliski Wschód. Dopiero legiony cesarza Aureliana pokonały armię Palmyry, Zenobię wzięły do niewoli a samo miasto spaliły.

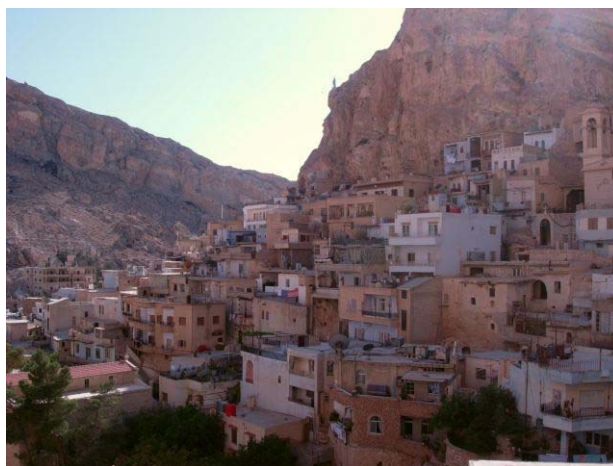


Podziwiamy to co zostało ze wspaniałego miasta a po południu kierujemy się w stronę Damaszku.

Po drodze wstępujemy do kawiarni na środku pustyni o szumnej nazwie Bagdad Cafe gdzie właściciel pokazuje nam jak mieszkają Beduini i ubiera mnie w tradycyjny arabski strój.



Przed Damaszkiem wstępujemy do chrześcijańskiego miasteczka Malula o ciekawej zabudowie przypominającej nieco pueblo a mieszkańcy posługują się ponoć językiem staroaramejskim.



Nam język ten próbowały zademonstrować dzieciaki ale ponieważ chciały za to pieniądze więc zostały pogonione kijami.

Mnie w z Maluli w pamięci najbardziej utkwiała budka z wszelakiej maści alkoholami – rzecz to niezwykła w kraju muzułmańskim a szczególnie w czasie ramadanu. Ucieszyłem się niepomiarnie z widoku tej oazy albowiem z niewielką pomocą towarzyszy podróży zapasy najepki uległy całkowitemu wysuszeniu.

Tak więc, ponieważ budka nie była na szczęście pustynnym mirażem, skwapliwie nabyłem drogą kupna flaszkę pocziwego Johny Walkera. Potem okazało się, że miał smak i zapach pomadki starej i upadłej kobiety – mam nadzieję, że potraficie sobie to wyobrazić i piliśmy ją w skrajnej potrzebie i tylko leczniczo przez cały następnny tydzień. Aha, żeby była jasność, to Piotr nie wypił z tego nawet łyeczka bo...wiadomo.

Damaszek chcieliśmy ominąć wielkim łukiem ale się nie udało i na jednej z ulic po której szaleli syryjscy kierowcy – wariaci, Piotr zostaje stuknięty przez jednego z pomylnych poganiaczy wielbłądów, któremu zachciało się zostać kierowcą taksówki. Na szczęście oprócz wygiętej tablicy rejestracyjnej nic się nie stało i blady ze strachu kierowca starej Dacii odzyskuje naturalną barwę twarzy.

Późnym wieczorem docieramy do Bosry z perspektywą wynajęcia jakiegoś hoteliku i porannego zwiedzenia bazaltowego amfiteatru.

Niestety w mieście egzystował tylko jeden mega wypasiony hotel i jako monopolista podyktował takie ceny ( jak pamiętam było to 150 Euro za pokój ) , że pomimo zmęczenia uśmialiśmy się z Piotrem serdecznie. Władca Recepcji zadzwonił jeszcze łaskawie do jakiegoś Big Bossa i ten obniżył cenę do 130 Euro i to miała być cena ostateczna i nie negocjowalna. W związku z tym, że hotel świecił pustkami – pożyczaliśmy obsłudze i bossom powodzenia w biznesie i udaliśmy się na granicę syryjsko – jordańską w celu poszukania tańszego lokum.

I rzeczywiście śpimy w hoteliku na granicy za 27\$ za pokój z widokiem na zasyfione nieużytki.

I tu uwaga natury ogólnej. Syryjczycy ( jeśli nie siadają za kierownicę ) to bardzo mili uczynni i uprzejmi ludzie a przy tym bardzo domyci i chodzący w nienagannie czystych galabijach lub europejskich ubiorach. Niestety jeśli nie złączą sprzątać swojego otoczenia to za 10 lat będą poruszać się niezłymi asfaltami w tunelach pośród śmieci, pośród których większość to torby foliowe, niestety.

# JORDANIA, CZYLI – PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Granicę, mimo arabskiego typowego rozgardiaszu, pokonujemy w miarę sprawnie i udajemy się do Umm Qays ( Gadara ) aby odwiedzić ruiny jednego z miast Dekapolis – czyli ligi skupiającej wolne, rzymsko - greckie ośrodki handlowe.



Ruiny, mimo pięknego widoku na Jezioro Galilejskie po izraelskiej stronie, nas nie powalają, niestety spotykamy się po raz pierwszy z pazernością Jordańczyków, traktujących turystów jak chodzące portfele, z których należy wyłuskać jak najwięcej kasiory.

Oto „ biznesmen” w supermarkecie, który mieści się pod parasolem, winszuje sobie za kawę i dwie małe wody 4 JD czyli w przybliżeniu 4 Euro. Pytam, ile w takim razie za kawę? Jeden JD ( turystom nie podaje się ceny w dinarach i filach, po prostu cenę się zawyża do pełnego dinara ). Ponieważ kawę już wypijam, więc płacę tego dinara i oddaję mu wodę. Nie jest zadowolony.

Przez cały pobyt w Jordanii tylko raz w sklepie spożywczym w Akabie sprzedawca policzył nam uczciwą, i nawet nie zaokrągloną cenę za towar. Na pytanie czemu zawdzięczamy taką wspaniałomyślność, pada odpowiedź – bo jest ramadan...

Podróże kształcą.

Tego samego dnia zwiedzamy następne miasto Dekapolis – Jerash, gdzie dostaję biegunki i zostaję opieprzony przez jakiegoś ortodoksa, że palę faję – a przecież jest ramadan. Zbywam go wzruszeniem ramionami i uprzejmym – wal się na ryj.

Chyba zacznę się skracać, bo coś za długie to opowiadanie wyjdzie a tu jeszcze cały Izrael przed nami.

A więc trochę więcej zdjęć i mniej pisania.

W Pelli wynajmujemy pokój w hotelu, którego właściciel ostrzega nas przed jak się wyraża „kids” w pobliskiej wiosce, w której chcemy coś zjeść. Kids, okazują się młodocianymi bandytami, którzy całymi chmarami wyłaniają się z wiejskich lepianek i usiłują zerwać nasze bagaże z motocykli, urywają nam biało – czerwoną a na końcu obrzucają nas pomidorami. Salwujemy się haniebną ucieczką ale naprawdę nie było śmiesznie.

Byłoby lepiej, gdyby Miłościwie Panujący zrezygnował z pokazu siły w postaci licznych umundurowanych i uzbrojonych po zęby patroli wojskowych na drogach w okolicy Wzgórz Golan, gdzie podczas sprawdzania dokumentów, szczeniak w mundurze mierzy do ciebie z wielkokalibrowego działka umieszczonego na transporterze, na korzyść większej ilości policji w wioskach, trzymającej w ryzach swoich włóścian. Za karę odpuszczamy sobie zwiedzanie Pelli, poza tym mamy już trochę dość łażenia po ruinach.

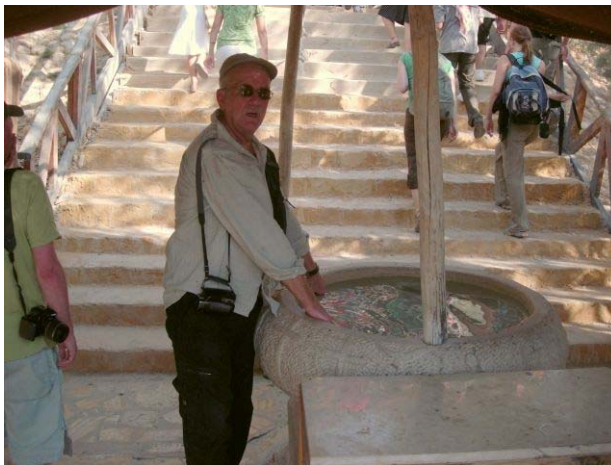
Takie same „kids” próbują później obrzucać nas kamieniami na Drodze Królewskiej.

Na przedmieściach Ammanu spotykamy młodego człowieka w mundurze armii jordańskiej, jak się później okazuje lekarza okrętowego, którego ojciec jest Jordańczykiem a matka Rosjanką. Zaprasza nas na kawę do siebie do domu gdzie poznajemy rodziców i żali się, że źle mu się żyje w Jordanii, wewnątrz czuje się Rosjaninem i prędeż czy później wyprowadzi się do Matuszki Rosji. Nie podzielam jego optymizmu co do nowej ojczyzny ale oczywiście nie mówię mu tego.



Piotr nie czuje się dobrze ale na szczęście odwiedzamy Baptist Site – miejsce gdzie prawdopodobnie odbył się chrzest Chrystusa.

Piotr myje ręce w cudownej misie z prawdopodobnie cudownie uzdrawiającą wodą i tak jakby czuł się lepiej.



Stąd już tylko mały skok do Morza Martwego.

Kąpiel jest może mało przyjemnym ale ciekawym doświadczeniem. Zanurzamy się w gęstej, oleistej solance, starając się nie zamoczyć twarzy, a już na pewno oczu. Wyporność wody jest taka, że kiedy nie dotyka się stopami dna to ma się wodę na poziomie piersi.

Po kąpeli konieczny jest prysznic no i nie można oczywiście mieć żadnych ran ani zadrapań.

Przy okazji czujemy się obywatelami lepszej kategorii bo za wstęp na plażę płacimy 7 JD a Jordańczycy 4 JD



Śpimy w Madabie. Następnego dnia wjeżdżamy na górę Nebo. Z niej to biblijny Mojżesz miał zobaczyć Ziemię Obiecaną, do której jednak nie było mu dane wkroczyć z



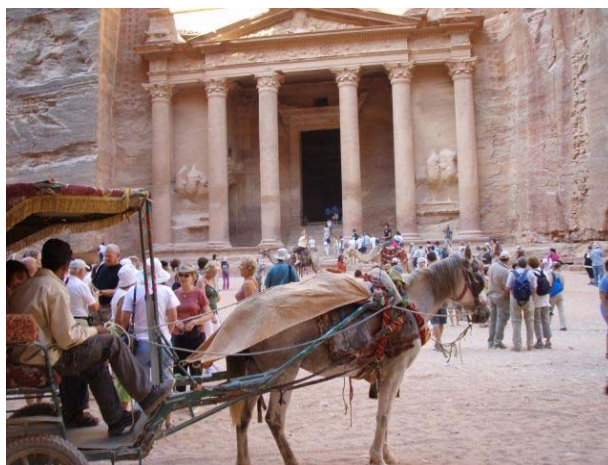
plemionami izraelskimi. Odwiedzamy zamek krzyżowców w Keraku, którego ostatni komendant – wesolek Renauld de Chatillon kazał strącać skazańców z murów w dolinę, uprzednio zabiwszy im głowę w drewnianą skrzynkę aby nie stracili świadomości podczas powolnego umierania. Sam Renauld traci życie z rozkazu Saladyna po klęsce krzyżowców w bitwie pod Hittin w lipcu 1187r.

Fotografie zrobione przez nas w kanionie Wadi Mujib nie oddają jego ogromu i piękna. Polecam podejść tam sobie w wolnej chwili i zobaczyć to na własne oczy.



!4 września docieramy do Wadi Musa aby następnego z przemiliym polskim przewodnikiem, który pozwala podpiąć się do swojej grupy, zwiedzić Petrę.

No co ja tu będę opowiadał – niech przemówią fotografie.



W Petrze, choć to prawie niemożliwe robi się jeszcze goręcej więc spoceni i brudni ruszamy na podbój pustyni Wadi Rum.

Niestety zatrzymuje nas młody ale niestety już skorumpowany policjant z patrolu jordańskiej drogówki i nie pokazując niczego co przypominałoby radar proponuje nam opłatę w wysokości 15 JD per capita. Dla świętego spokoju, mimo protestów Piotra,

decyduję się uszczuplić swoje zasoby dinarowe ale żądam pokwitowania a Piotr robi w tym czasie zdjęcia radiowozu aby wysłać je do Króla Abdullaha II ze skargą. O dziwo pomaga !!! Niedoszły łapówkarz po naradzie ze starszyzną w radiowozie oddaje pieniądze a pozostali pokazują jakiś gest. Tylko nie wiem czy było to „good luck” czy też „fuck off & drive to hell as fast as You can”. Oceńcie to sami.



Co nie udało się policjantom, udało się czarnemu potomkowi Nabatejczyków w Wadi Rum. Kroi nas po 70 JD na łba za wątpliwej wygody namiot na pustyni, bez kolacji, bez możliwości umycia się, mizerne śniadanie i trzygodzinną przejażdżkę po pustyni, podczas której niemiłosiernie poobijał nasze kufry, podróżujące w tylnej części dychawicznego dżipa.

Podróże kształcą.



Umordowani i brudni docieramy do Akaby aby nieco odpocząć ale tu znowu walą nas w łeb cenami w Royal Diving Club ( 110 JD za noc ). Za pomocą usłużnego taksówkarza który, nota bene, zdarł z nas jak szoferak ze słupka na Okęciu zmieniamy słowo „Royal”

na „Bedouin” w nazwie hotelu i od razu jest lepiej ( 20 JD za osobę ze śniadaniem i kolacją ).



Niewątpliwą atrakcją owego hotelu był basen oraz recepcjonistka pochodzenia libańskiego w wieku dojrzałym ale jeszcze całkiem teges... która, ilekroć zażywałem wieczornej kąpieli, siadywała przy stoliku na skraju basenu i pod osłoną tegoż stolika rozsuwała nogi abym mógł dojrzeć zarysy kształtnych ud...a może i nieco głębiej.

Ośmielony paroma głębszymi tej wstrętnej whisky, co to o niej wcześniej pisałem, zaproponowałem jej, że ją być może odwiozę po pracy do domu na moim stalowym rumaku, czym urzeczona odrzekła, że nie trzeba albowiem ona mieszka w domku obok i podała mi numer owego.

Już, już witałem się z gąską kiedy zmroziło mnie spojrzenie Piotra, które w całkiem jasny sposób przekazywało tę oto niebanalną myśl – „zastanów się co robisz idioto !!!”

Pomogło.

A rano, tak na zimno i trzeźwo stwierdziłem, że chyba miał rację ( wersja dla żony oczywiście ).

Dama owa poza zaletami swego fizis, miała także niezaprzeczalne zalety umysłowe tzn. była biegła w podliczaniu rachunków, i chociaż czasem popełniała błędy, to zawsze na korzyść swojego szefa oraz podobno posługiwała się angielskim i hiszpańskim. Hiszpańskiego nie znam ale okazało się także, że nie znam anglo-libańskiego w wykonaniu tej Pani bo nic a nic nie rozumiałem co ona talking to me za wyjątkiem numeru domku, który mi podała. To zrozumiałem nawet po pijaku. Załamany, podzieliłem się tą smutną wiadomością z sympatycznymi Szwedami, którzy bussem podróżowali do Cape

Town a oni na to ze śmiechem, że nikt jej nie rozumie i wszyscy mieszkańcy hotelu słuchając jej angielszczyzny, świetnie się bawią.

W Akabie, choć to prawie niemożliwe, jest jeszcze goręcej niż w Aleppo i w Petrze i między 11,00 a mniej więcej 19,00 po prostu nie da się żyć. Wieczorami jeździmy do oddalonego o 20km centrum ale powietrze wciąż jest gorące i nie daje wytchnienia.

W sklepie jubilerskim, gdzie kupujemy jakieś zegarki ( Akaba jest strefą bezcłową ) przy towarzyszącej targowaniu się, nieodłącznej kawie, sprzedawca informuje nas, że tu na motocyklach się nie jeździ bo jest za gorąco i Jordańczycy wolą poruszać się klimatyzowanymi autami.

Odnosnie strat własnych to Piotrowi kradną nie wiadomo po co olej silnikowy i szelki od plecaka a mnie wiatr lub ktoś złośliwy przewraca motocykl na płot i tracę szybę i lusterko. Obaj mamy motocykle pomalowane w zielone kropki bo osioł jordański z obsługi hotelu malował właśnie na zielono hotelowe ogrodzenie.

Próbujemy podzidować nieco po plaży ale piasek jest za grząski a poza tym przeganiają nas miejscowi „gospodarze plaży”.

Robimy trochę zdjęć na granicy jordanско-saudyjskiej.

Odpoczywamy.

Wieczorkiem w dniu poprzedzającym nasz wjazd do Izraela pojawia się Kiub z Gajronem i gadamy sobie przy pifku o wrażeniach z podróży.

Ogólnie, to nasze wrażenia z kontaktów z Jordańczykami są złe i bardzo złe. Pomimo wyższego, niż w Syrii poziomu życia to wydaje się, że ulubioną rozrywką mieszkańców tego kraju jest łupienie turystów. I nie jest to tylko nasze odczucie.

Obiecujemy sobie z Piotrem, że po powrocie napiszemy o tym do Króla.



# Gorąco i koszernie

Muszę przyznać, że wjazdu do Izraela bałem się okropnie. Nasłuchałem się opowieści o wielogodzinnych przesłuchaniach na granicy, w palącym słońcu, o wypytywaniach o pobyt w Syrii i o rodzinę do piątego pokolenia wstecz.

Tymczasem była to najprzyjemniej przekroczona granica z dotychczasowych.

Podjechaliśmy pod wiatę, pod którą czekała na nas niewielka lalunia i po zapytaniu w jakim języku ma nas maglować z satysfakcją przeszła na rosyjski, którym posługiwała się zapewne od urodzenia.

Punkt dla nas.

Interesował ją głównie nasz pobyt w Syrii. Czy mamy tam znajomych, czy kogoś woziliśmy, czy dostawaliśmy jakieś prezenty, czy mamy bomby, hasz, granaty, wyrzutnie rakiet i takie tam. Na wszystkie pytania odpowiadaliśmy rezolutnie „Niet !!” i po 10 minutach przesłuchanie się zakończyło. Jeszcze tylko krótka narada z towarzyszącym jej młodzieńcem, podczas której ucieliśmy sobie pogawędkę z izraelskim Ukraińcem pilnującym granicy ( ponoć milion „ludiej” najechało Ziemię Obiecaną z terytoriów dawnego ZSRR w ciągu ostatnich 15 lat ) i zostaliśmy zaproszeni do klimatyzowanego namiotu gdzie sympatyczny urzędnik ZA NAS wypełnił dokumenty celne.

Wszystko trwało może ze 40 min.

Byliśmy w ciężkim szoku!

Później od Polaków w Hajfie, którzy podróżowali trasą zbliżoną do naszej, sportową Mazdą MX 5, dowiedzieliśmy się, że oni nie mieli tak słodko. Przesłuchiwali ich bardzo długo i szczegółowo a bagaże mieli wybebeszone do ostatniego tobołka.

Cóż, prawdopodobnie my mieliśmy bardzo dobronudszny i głupkowaty wygląd a poza tym byliśmy nietypowi. A terrorysta nietypowy być nie może. Ani głupkowaty.

Pędzimy przez Pustynię Negew robiąc sobie przerwę w kibucu o którym przeczytałem, że słynie z produkcji wysokiej jakości lodów i rzeczywiście lody są przednie.

Podziwiamy uprawy czegoś co schowane jest przed naszym wzrokiem i palącym słońcem pod namiotami z jakiejś gęstej tkaniny i sztucznie nawadniane zapewne z głębinowych studni.. Widok to na pustyni niezwykły.

Tego dnia zwiedzamy jeszcze Masadę, miejsce szczególne dla Żydów, gdzie ok. 1000 obrońców w trakcie tzw. Powstania Żelotów w 73r.n.e. wolało popełnić zbiorowe samobójstwo niż oddać się w ręce przeważających sił Rzymian.



Wieczorem wypijamy piwko z grupą kibiców St Etienne, którzy przyjechali na mecz piłkarski z jakąś drużyną z Izraela i załatwiamy nocleg w dormitorium schroniska młodzieżowego w Engedi.





Schronisko jest wyjątkowo czyste i zadbane a już przebojem jest śniadanie w ramach którego jest wszystko – od jajek i dżemów różnej maści po wędliny i sery a nawet śledzie na które rzucamy się ochoczo.

Generalnie w Izraelu, w miejscach zamieszkałych przez Żydów widać dużo lepszą jakość życia i bardziej europejską kulturę, ład i czystość.

Rano, zaopatrzeni w adres francuskich Sióstr Białych wyruszamy do Jerozolimy.

Trafiamy w okolicę Bramy Damasceńskiej w sam środek zgiełku i tumultu arabskiego żywiołu, który niepodzielnie panuje w tej części miasta.



Długo szukamy ulicy Nablus, przy której siostry mają swój hotelik nie spodziewając się, że jest on tak blisko Bramy Damasceńskiej.

Za żelazną bramą odgradzającą dom sióstr od hałaśliwej, handlowej ulicy jest istna oaza ciszy i spokoju.



Zostawiamy motocykle w bezpiecznym ogródku i trzy dni zwiedzamy fascynujące Stare Miasto, Górę Oliwną, Instytut Yad Vashem, i Betlejem ( ale to już w granicy Autonomii Palestyńskiej).



Wchodzimy na Wzgórze Świątynne i oglądamy z bliska Kopułę Na Skale i Meczet Al. Aksa.

Niestety do obu tych zabytków obecnie niewiernych się nie wpuszcza.





Kilkukrotnie przechodzimy obok Ściany Płaczu czyli resztek muru pozostałego z dwukrotnie zburzonej Świątyni Jerozolimskiej - to najważniejsze dla Żydów miejsce na ziemi.



Oczywiście wizytujemy miejsca ważne dla kultury chrześcijańskiej czyli Bazylikę Grobu Pańskiego i Kościół Św. Anny i przechadzamy się Via Dolorosą ale nade wszystko wchłaniamy klimat tego miasta, które jest niepodobne do żadnego innego na świecie.

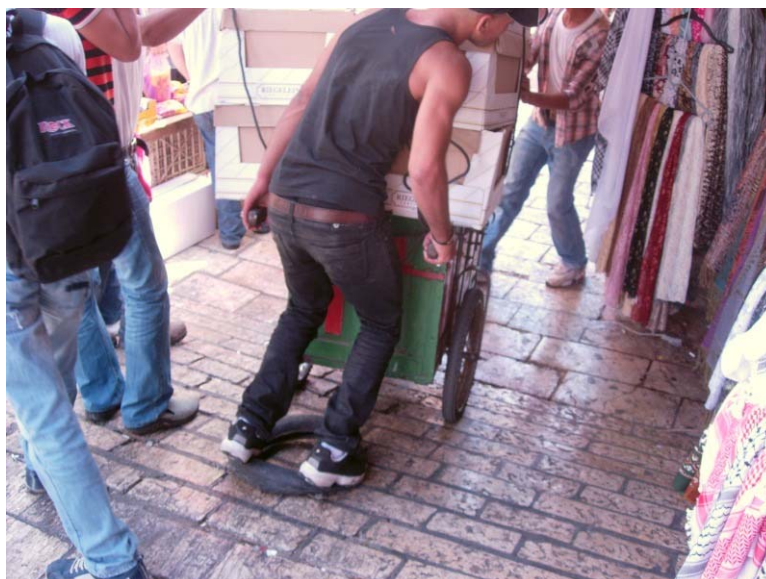
Wyczuwa się tu napięcie i jest mnóstwo patroli izraelskich z bronią zawsze gotową do strzału ale zwykli, normalni ludzie mogą tu współegzystować, zakładać rodziny, robić interesy.

Niestety któregoś wieczora, kiedy siedzimy przy lampce wina z zaprzyjaźnionymi Polakami mieszkającymi w Australii słyszymy narastający dźwięk syren karettek i policyjnych radiowozów i rano dowiadujemy się, że palestyński terrorysta wjechał koło bramy Jaffy w grupę izraelskich żołnierzy i 19 osób w tym dwie ciężko ranił. My byliśmy tam godzinę wcześniej w kawiarence internetowej.

Odwiedzamy Kościół Etiopski i pobliską dzielnicę żydowskich ortodoksów Mea Sharim – założoną przez Żydów przybyłych głównie z Polski, Litwy i Węgier gdzie czas jakby zatrzymał się w miejscu.



Poznajemy logistykę kramów na Starym Mieście. Transport towarów odbywa się tu małymi, najczęściej trójkołowymi wózkami bo żaden samochód w tak wąskie uliczki przecież nie wjedzie. Do hamowania służy opona przytwierdzona łańcuchem, którą hamulcowy, w zależności od potrzeb naciska jedną nogą lub po prostu na niej staje. Skuteczne, ale nie do zastosowania w motocyklu.



Obserwujemy różnego autoramentu wyciskaczy soków, czyścicieli butów, sprzedawców falafeli, ortodoksyjnych Żydów i ulicznych piekarzy.



Niestety musimy opuścić Jerozolimę bo 29 września odpływa nasz prom a mamy jeszcze w planie zobaczenie wielu miejsc.

Żegnamy więc Siostry Białe, które chyba nas polubiły. Myślę, że zmienią o nas zdanie jak zobaczą ile butelek po naszej ( przepraszam, mojej, bo Piotr nie pił ) ulubionej wódce Aleksandrow zostawiliśmy w koszu na śmieci.

Żegnam się jeszcze z uroczą recepcjonistką, która umiała po francusku i знаła język angielski i obiecuję, że po nią wrócę jak tylko pozbędę się mojej starej. Myślę, że mi jednak nie uwierzyła.

Kierujemy się na Tyberiadę nad Jeziorem Galilejskim ale nie przez Autonomię Palestyńską tylko przez dobre izraelskie autostrady bo trochę mieliśmy już dosyć arabskiego rozgardiaszu.

Do Tyberiady wpadamy piękną palmową aleją i nauczeni doświadczeniem szukamy noclegu w jakimś klasztorze, lub kościele.



Trochę nas odsyłają z miejsca na miejsce bo wszystkie pokoje są pozajmowane ale w końcu znajdujemy jakieś locum w małym kościółku po którym nikt by się nie domyślił, że może oferować noclegi.

Kościółek służy libańskim chrześcijanom, co czwartek odbywa się tu msza po arabsku i w jednej z nich uczestniczymy.

Przez następne kilka dni zwiedzamy Wzgórza Golan, okolice Góry Hermon, wodospady Baniass a nade wszystko miejsca związane z życiem Chrystusa, ale tutaj zmuszę Was bezbożników, do wysiłku intelektualnego i zgadujcie sobie co przedstawiają zdjęcia bo podpiszę je tylko cytatami z różnych ewangelii.

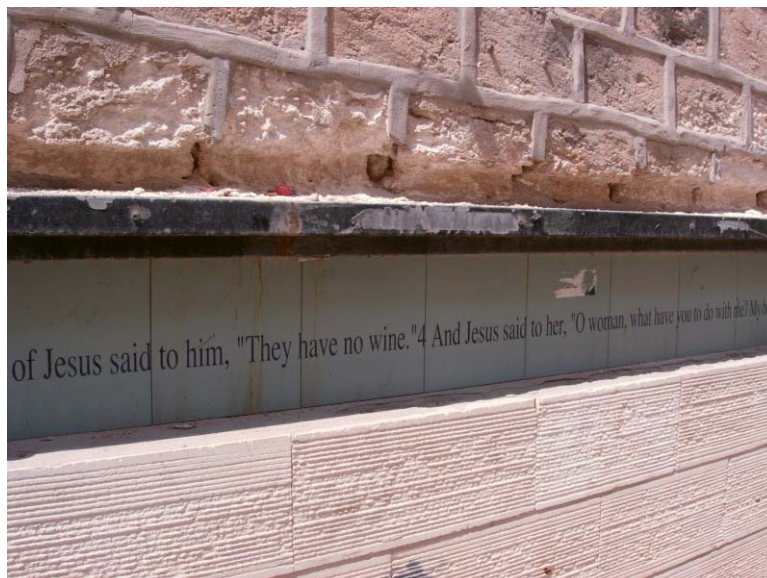
*W szóstym zaś miesiącu, posłany został od Boga anioł Gabriel do miasta galilejskiego do panny poślubionej mężowi, któremu imię było Józef. I rzekł jej Anioł: Oto poczniesz w łonie i porodzisz syna, a nazwiesz imię jego Jezus  
Ewang. Wg. Św. Łukasza*



*I porodziła syna swego pierwrodneho, a uwinęła go w pieluszki i położyła w żłobie, bo nie było dla nich miejsca w gospodzie*  
*Ewang Wg. Św. Łukasza*



*A gdy zabrakło wina, rzekła matka Jezusowa do niego: Wina nie mają. I rzecze jej Jezus: Co mnie i tobie niewiasto? Jeszcze nie przyszła godzina moja. Rzecze matka jego sługom: cokolwiek wam powie, czyńcie*  
*Ewang.Wg. Św. Jana*



*Wszakże powiadam wam: Iż znośniej będzie ziemi sodomitów w dzień sądu,, aniżeli tobie.*  
*Ewang.Wg. Św. Mateusza*



*A rozkazawszy rzeszom usiąść na trawie, wzięwszy pięć chlebów i dwie ryby i spojrzawszy w niebo, pobłogosławił, połamał, i dał uczniom chleb, a uczniowie rzeszom. I jedli wszyscy, i najedli się.*

*Ewang. Wg. Św. Mateusza*



*Zasmucił się Piotr i rzekł mu: Panie, ty wszystko wiesz. I rzecze mu Pan; Paś owce moje.*

*Ewang. Wg. Św. Jana*



*A po sześciu dniach wziął Jezus Piotra i Jakuba i Jana, brata jego i wyprowadził ich na górę wysoką osobno. I przemienił się przed nimi.. A oblicze jego pojaśniało jak słońce, szaty zaś jego stały się białe jak śnieg.*

*Ewang. Wg. Św. Mateusza*



# ODYSEJA

Któregoś dnia w Tyberiadzie dostajemy SMS-a od żony Piotra aby skontaktować się z Alicją Rosner – przedstawicielką Rosenfeld Shipping w Hajfie. Robimy to i dostajemy informację aby stawić się w porcie dzień wcześniej bo prom odpłyne w niedzielę a nie w poniedziałek.

Zwijamy więc manatki i pędzimy do Hajfy po to tylko aby dowiedzieć się, że prom jednak odpłyne o czasie – czyli w poniedziałek wieczorem a o 15,00 mamy być w porcie.

Piotr nie miał wtedy dobrego dnia i robi Alicji lekką awanturę na co ona coś płacze o jakichś strajkach w Grecji. Nie bardzo jej wierzymy ale nie pozostaje nam nic innego jak zrobić sobie wycieczkę do Akko – jednego z najstarszych znanych portów świata i ostatniej twierdzy krzyżowców straconej zresztą na rzecz Mameluków w 1291 r.



Port i samo miasto piękne ale naprawdę zjawiskowo piękna to była izraelska żołnierka w pociągu. Gapiliśmy się z Piotrem na nią jak urzeczeni ( zresztą razem z pozostałymi pasażerami ). Była Żydówką prawdopodobnie pochodzenia etiopskiego bo pod gęstymi, poskręcanyimi lokami buźkę miała czarną, jak ja moje myśli o niej. Pewnie ze 185 cm wzrostu, nieprawdopodobnie długie nogi, wąska talia i zero cycków – czyli tak jak lubię. Taka żydowska gazela.



Chyba dałbym się jej sponiewierać.

Piotrowi to tak się ręce trzęsły, że nie zdążył jej nawet zrobić zdjęcia jak ją zagadywałem na peronie. Niestety nie była chętna do rozmowy. Widocznie spieszyła się do koszar poćwiczyć z nieco młodszymi rekrutami jakieś głupie gry wojenne.

A tak w ogóle, to było to dla nas nieco egzotyczne – widzieć tak wielką ilość ludzi, niekoniecznie w mundurach, noszących broń ( głównie M 16 ) tak jak my nosimy parasolki w czasie deszczu.

Tu macie przykład – dziewczę, tym razem w mundurze, z wielką giwerą na plecach i nieco odpustową żółtą torebką, mieszczącą zapewne wszystko co młodej kobiecie potrzebne aby być piękną.



Na ichniejszych dworcach, aby kupić bilet i pojechać pociągiem, trzeba poddać się operacji przeszukania wykrywaczem metali a po peronie zawsze kręci się umundurowany i uzbrojony przedstawiciel policji kolejowej. Tory przebiegają pomiędzy wysokimi płotami z metalowej siatki ale za to wagony są klimatyzowane i wygodne i z głośników informuje się o przystankach, także po angielsku.

Przejażdżkę izraelskimi kolejami, polecałbym życzliwej uwadze oficjeli naszej niechlujnej PKP.

Następnego dnia, kiedy powoli zbieramy się do pakowania dostajemy niewinny telefon aby skontaktować się z biurem Rosenfeld Co.

Ponieważ było to parę kroków od hotelu, udajemy się tam aby powziąć informację, że z powodu owych strajków w Grecji, nie ma dla nas miejsca w kabinach promu

odpływającego dzisiaj, ponieważ musi płynąć w nich załoga na podmianę innej załogi statku uwięzionego w Grecji z powodu tychże strajków.

Zagotowaliśmy się z Piotrem okrutnie a ja tym bardziej, że zdałem sobie sprawę, że nijak nie zdążę do mojej ukochanej pracy a moje ukochane miasto Uć może zostać z tego powodu pozbawione dostaw ciepła i prądu.

Na nic zdały się nasze prośby, groźby i błagania. Zaproponowano nam, że motocykle mogą płynąć a nam zorganizują przelot z Tel Avivu do Aten samolotem, albo odpłyniemy luksusowym promem tej samej kampanii w luksusowych kabinach w czwartek razem z naszymi Księżniczkami.

Ponieważ nie mogliśmy znieść myśli o rozstaniu z naszymi Afryczkami i chciało nam się zakosztować tego luksusu więc wybraliśmy wariant numer dwa.

Na podobieństwo skazańca, który ma prawo do ostatniego życzenia przed egzekucją, my zażyczyliśmy sobie trzech rzeczy – opłacenia hotelu ze śniadaniem i stałym dostępem do sieci Wi-Fi, 50 Euro kieszonkowego na głowę oraz natychmiastowego dostępu do telefonu w celu zadzwonienia do domu, pracy lub do terrorystów zdolnych wysadzić biura Garego Rosenfelda w powietrze.

O dziwo, nasze żądania zostały spełnione bez protestów a pracownik biura wyjął z tylnej kieszeni swoich spodni plik banknotów i dał nam po te marne 50 Euro bez żadnego pokwitowania. Chyba musieliśmy wyglądać na bardzo zdenerwowanych.

Cóż, mieliśmy prawie cztery dodatkowe dni wakacji na koszt nierzetelnego przewoźnika.

Niestety w owym czasie wypadał właśnie Żydowski Nowy Rok i wszystko przez trzy dni było pozamykane a poza tym Hajfa to trochę nieciekawe portowe miasto i nie bardzo było co w nim robić.



Pozostało nam fundować sobie wycieczki po bliższej i dalszej okolicy. I tak odwiedziliśmy Akko jeszcze raz, zjeździliśmy całe wybrzeże Morza Śródziemnego aż do granicy z Libanem i zażywaliśmy plażowania i kąpiele bo pogoda, mimo że to był przełom września i października była do tego znakomita.

W dniu odjazdu, upewniwszy się rano, że Mr Rosenfeld nie szykuje nam nowych niespodzianek udaliśmy się do portu.

Trzeba przyznać, że Żydzi sprawy organizacyjne mają dopięte perfekcyjnie.

O 15,00 miał nas w porcie przejąć agent przewoźnika i nas przejął. W jego asyście połatwialiśmy sprawnie wszystkie niezbędne formalności po czym ten zadzwonił po ochronę portu i w mini konwoju który otwierał pick-up ochroniarza a zamykał samochód agenta udaliśmy się do innego nabrzeża, gdzie czekała na nas krypa, która przez najbliższe dni miała być naszym domem.



I nie ma tutaj co mówić o jakimkolwiek luksusie chociaż kabiny okazały się wygodne a jedzenie znośne, przynajmniej w porównaniu z tym żarciem dla świń, które zafundowała Andrzejowi, Emilce i mnie kompania Navibulgar na Morzu Czarnym w zeszłym roku.

Załogę tego Rdzawego Transatlantyka stanowiła zbieranina wszelkiej maści podejrzanych i wytatuowanych typów przeróżnego koloru skóry i narodowości.

I tak kapitanem był wałęsający się po pokładzie w brudnych i podartych dżinsach bezzębny Grek, za plecami którego pozostała załoga kreśliła sobie na czołach kółka co w międzynarodowym języku migowym marynarzy oznacza, że jego decyzje nie zawsze były

przemysłane. Jego angielszczyzna powodowała u mnie chorobliwy wytrzeszcz oczu co oznaczało bezgraniczne zdumienie i niedowierzanie, że ktoś w taki sposób może posługiwać się pięknym językiem Szekspira a podobną reakcję zauważałem także wśród bandy morskich rozbójników mieniących się załogą.

Pierwszy oficer był Egipcjaninem i miał wygląd pierdołowatego księgowego najniższej rangi i prawie nie schodził z mostka. Widocznie tylko on potrafił kręcić kołem sterowym i znał się na mapach.

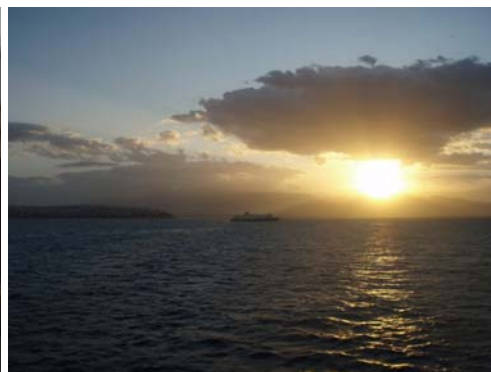
Bosman, ponury Ukrainiec, był wytatuowanym typem, którego nie chciałym spotkać w ciemnych zaułku Lwowa lub Doniecka ale raz się do mnie nawet uśmiechnął.

Pozostałość zgrai stanowili Rosjanie, Arabowie, byli też jacyś murzyni i diabli wiedzą kto jeszcze. Nasz steward był Hindusem a kucharz Arabem i próbował nas zabić tłustym jedzeniem ale mu się nie udało bo trzy dni to za krótko.

Po wejściu do kabiny stwierdziliśmy z Piotrem ( mylnie zresztą ), że przedziwna konstrukcja zamka w drzwiach spowoduje nieodwracalne zatrzaśnięcie tychże i w przypadku wielce prawdopodobnej kolizji łajby z np. górą lodową nie zdążymy na czas do szalupy ratunkowej. Miły ale dotknięty lekką durnowatością mózgu marynarz, który nas do kabiny wprowadzał ni w ząb nie mógł pojąć o co nam chodzi i myślał zapewne, że jesteśmy z Piotrem parą pedałów chcących się zamknąć i oddawać wyuzdanym orgiom podczas żeglowania po bezkresnym morzu.

Wieść się zapewne rozniosła i od tej pory nikt z załogi nie odważył się wejść do otwartej przecież kabiny bez długiego i natarczywego pukania we wspomniane drzwi.

My tymczasem oddawaliśmy się zgoła innym rozrywkom w postaci odpięczętowywania kolejnych butelek naszego ulubionego Aleksandrowa z niewielką domieszką pysznego koszernego soku grapefruitowego bo cóż innego mieliśmy robić?



Ach, byłbym zapomniał !

Piotr nie pił bo... wiadomo, żona i lekarz.

Sam wypilem te trzy litry.

Cud to prawdziwy, że podczas rejsu dzielna załoga uniknęła zderzenia z tymi wszystkimi statkami, nabrzeżami , molami, wyspami i górami lodowymi i w niedzielę 5 października bezkolizyjnie przycumowała okręt do nabrzeża portu w Pireusie.

Bezgranicznie szczęśliwi rzuciliśmy się do rozplątywania naszych motocykli ze sztafujących je łańcuchów kiedy grecki urzędnik nadzorujący rozładunek oznajmił nam, że nigdzie nie pojedziemy bo jest niedziela a w niedzielę to greccy celnicy zwykli ostatnio sobie strajkować.

W pierwszym momencie bezsilnej wściekłości miałem zamiar gościa utopić w syfiastym portowym basenie ale po krótkiej naradzie postanowiliśmy pocichutku, pomalutku, po angielsku opuścić port bez zbędnych, jak nam się zdawało, formalności.

Niestety grecka gadzina była szybsza, wsiadła w samochód i wyprzedzając nas, zdołała ostrzec ciecia na budce wartowniczej.

Znaleźliśmy się w potrzasku.

Po krótkiej naradzie doszliśmy z Piotrem do konsensusu, że zaszczepimy tu, na Ziemi Greckiej, obyczaje – wprost z salonów Samoobrony.

Wy strajkujecie ?!! To my też będziemy!!!

I postawiliśmy obładowane krowy w poprzek drogi dojazdowej do portu i zablokowaliśmy kierownice kluczykami.

I usiedliśmy sobie z boku na schodkach.

I sobie siedzieliśmy spokojnie.

Oj, się działo. Się działo.

Nie byliśmy w nastroju do fotografowania, więc tutaj tylko jedno zdjęcie zdziwionego „ciecia”



Droga dojazdowa do portu, mimo strajku i pomimo niedzieli, w krótkim czasie wypełniła się różnymi pojazdami chcącymi wjechać do portu lub też go opuścić.

Zablokowaliśmy nawet naszego kapitana z żoną. Prawdopodobnie własną.

Nawiedzały nas rozmaite delegacje i czy to prośbą, czy to groźbą próbowały nas nakłonić do usunięcia zawałdróg.

Byliśmy niewzruszeni.

Nikt nie odważył się nawet dotknąć naszych motocykli.

Nastąpił pat.

Było do przewidzenia, że prędzej czy później dojdzie do rozwiązania siłowego.

W istocie, wkrótce pojawiła się policja portowa. W zwięzłych słowach przedstawiłem policjantowi naszą sytuację. Że właśnie tracę pracę, że nie mamy co jeść, że kończy nam się ubezpieczenie i leki na cukrzycę i zaraz na jego oczach tu umrzemy i takie tam...i jeśli chce to może nas zamknąć

Wydawało mi się, że poczciwe chłopisko rozumie naszą trudną sytuację ale niestety, odpowiedział mi parafrazując słowa naszego innego polityka, tym razem noblisty.

„ - Nie chcę Cię zamknąć, ale będę musiał”

I oto w chwili, gdy wyciągałem ręce aby zatrzasnęły się na nich greckie kajdanki, Piotr zadzwonił się do polskiego konsula w Atenach ( telefony wszystkich konsulatów należy koniecznie mieć ze sobą ) i ten zasugerował aby nie robić zadymy bo on, Konsul, SPRÓBUJE nam pomóc.

Zeszliśmy więc z barykad i eskortowani przez radiowóz, grzecznie wróciliśmy na nabrzeże.

„Spróbuję” to jest bardzo dobre słowo.

Takie dyplomatyczne.

Jednak czegoś ich uczą w tej dyplomacji.

Tak więc Pan Konsul najsampierw PRÓBOWAŁ nas znaleźć w tym porcie a port w Pireusie nie mały.

Zajęło Mu to 4 godziny.

Jeśli ktoś sobie wyobraża, że konsul naszego kraju porusza się wytworną limuzyną z polską banderą to bardzo się myli.

Konsul przyjechał małym Daihatsu z żoną, pieskiem i Ważnym Udziałowcem Salamis Lines – czyli naszego przewoźnika. Był to Grek ożeniony z Polką, stąd jego znajomość z konsulem.

Pan i Pani Konsulostwo wyjaśnili nam, że oni to w zasadzie niewiele mogą a bez pomocy Ważnego Udziałowca to nie wpuściliby ich nawet do portu, że Grecy ze strajkowania uczynili sobie rodzaj narodowego sportu i że nawet nie bardzo wiadomo które służby portowe tak naprawdę strajkują i takie tam dyplomatyczne ble, ble, ble...

Nie mniej jednak trzeba przyznać, że byli mili i przerwali sobie przez nas weekend i zaproponowali, że załatwią nam leki na rzezoną cukrzycę i wynegocjowali nam, że możemy spać i jeść na statku, co nawiasem mówiąc załatwiliśmy sobie wcześniej sami.

Ponieważ zrobiło się już późne popołudnie więc zrezygnowaliśmy z wyjazdu w niedzielę, pożegnaliśmy się z Konsulem i jego żoną i udaliśmy się do miasta na pyszne małe smażone rybki z grecką sałatką i piffko.

Kiedy wróciliśmy po czterech godzinach okazało się, że nasz prom z naszymi Afryczkami właśnie odpływa...

Szczęśliwie okazało się, że to tylko manewr mający uchronić przycumowany dotychczas rufą do brzegu prom, przed uderzeniami porywistego wiatru wiejącego od morza.

Uff...Odetchnęliśmy z ulgą.

Rano, wyszło na jaw, dlaczego greckim hienom tak bardzo zależało, abyśmy nie wyjechali z portu. Po prostu mafia portowa musiała wziąć swoją dolę.

Płacimy 20 Euro opłat portowych i 60 Euro pośrednikowi, który rzekomo za nas będzie jeszcze 4 godziny załatwiał wszelkie formalności a nam wystawi przepustkę, z którą już w

tej chwili możemy opuścić port. Piotr się zagotował do białości a ja zacisnąłem tylko zęby, bo przecież z mafią jeszcze nikt nie wygrał.

W okropnych korkach przedzieramy się przez Pireus i Ateny i lecimy na granicę z Macedonią.

W sklepie wolnoślowym poznajemy parę Polaków podróżujących z Grecji do kraju Chryslerem Voyagerem i postanawiamy dla bezpieczeństwa przejechać przez Macedonię razem i zatrzymać się dopiero wieczorem w Serbii.

W hoteliku, gdzieś w Serbii, przy butelczynie czegoś mocniejszego nasze kontakty zacieśniają się i postanawiamy jechać razem aż do Węgier.

Na granicy Serbsko – Węgierskiej , kiedy na pytanie celniczki skąd jedziemy, odpowiadam, że z Izraela, w odpowiedzi słyszę „ Och, My God !!!” i już nie pyta o nic więcej i w ten miły sposób znów jesteśmy w Unii.

Jeszcze tylko jeden nocleg gdzieś w miasteczku z gorącymi źródłami niedaleko Szegedu a potem następny u Piotra w Kobiórze i po 5 i pół tygodniu i 9 i pół tysiącu kilometrów lądujemy w domu.

Ważna uwaga końcowa:

Wszelkie pytania o koszty wyprawy będę uważał za wysoce nieprzyjazne i jako takie, zostaną one zbyte milczeniem.